№ 7.

WARSZAWA.

15 Lutego

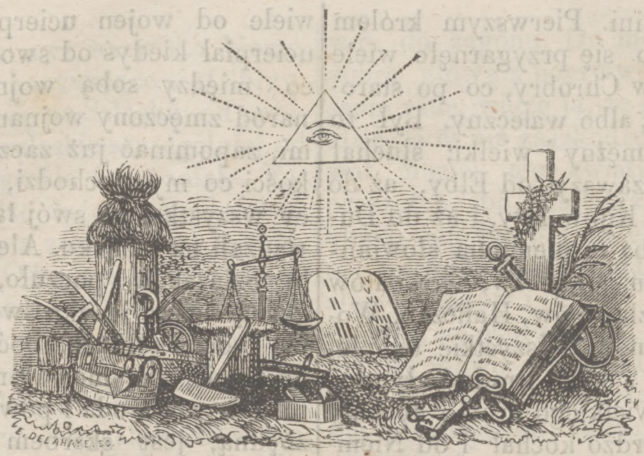
1863.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.



„*Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: O Szląsku. — Dobra i zła żona (powieść). — Piorun i piorunochrony. — Różności. Szkółki żeńskie niedzielne.

O SZLĄSKU.

Za dawnych czasów, przodkowie nasi nazywali się jednem mianem *Słowianie*. Jak dawniej, tak i teraz, plemie słowiańskie należy do najliczniejszych na świecie, bo jest go przeszło 80 milionów. Dawniej mowa różnych słowiańskich narodów, mniej się różniła niż dzisiaj, jedną też mieli wiarę, która była pogańska czyli bałwochwalska, bo uznawali więcej bogów niż jednego, bo kłaniali się bałwanom czyli bożkom wyrabianym z drzewa, kamieni, lub kruszcu, i modlili się do nich. Nie było to jednak plemie dzikie i okrutne, owszem odznaczało się łagodnemi i pięknemi obyczajami. A oprócz wiary w różne bóstwa, gusła i zabobony, Słowianie wyznawali, że nad nimi i nad całym światem, jest jeden najwyższy, i najpotężniejszy Bóg sprawiedliwy. Wiara słowiańska nie dozwalała wylewania krwi niewinnej, jak w innych krajach. Mieli swoich księży, którzy nauczali jak żyć na ziemi; mieli swoich starszych w gromadzie, których sobie sami, jako lud zupełnie wolny obierali, a którzy prócz władzy rządzenia, mieli też nad nimi i władze sądzenia. Nie byli więc dzicy, jakby się niejednemu zdawać mogło, ale też nie umieli i niewiedzieli, jak to należy Boga w Trójcy świętej jedynego chwalić należycie, jakto dla miłości Boga i bliźniego pracować i żyć, jak to lepiej siebie ukrzywdzić niż drugich, bo tego wszystkiego dopiero chrześcijańska wiara nauczyła ich dokładnie, którą już blisko tysiąc lat temu przyjęli.

Otóż ci Słowanie mieszkali w tych krajach gdzie dzisiaj wielkie rzeki: Łaba, (Elba,) Odra, Wisła, Dniepr, i Dunaj płyną, a dotykali samego morza Baltyckiego, a z drugiej strony morza Czarnego. Dzielili się na różne ludy, które różnie nazywały się jako to: Polanie, Lutycy, Pomorzanie, Szlązanie, Chrobaci albo Krakowianie, Mazowszanie, Rusini, Wołynianie, Drewlanie, Kijowianie, Połoczanie, a jeszcze inni zwali się Morawianie, Syrbowie, Czechy, Słowaki, wszyscy zaś nazywali się jednem słowem Słowianie. Z tych różnych pokoleń powstały potem trzy główne narody:

Polacy, Czesi i Rusini. Pierwszym królem Polskim, do którego się przygarnęło wiele plemion, był Bolesław Chrobry, co po staropolsku znaczy: bitny, albo waleczny. Był to w samej rzeczy król mężny i wielki; słuchał go kraj ogromny, zacząwszy od Elby, aż do Dniepru, gdzie dziś Kijów leży, i aż do Dunaju. Miał on pod sobą te plemiona słowiańskie: Pomorzan, Polan, Mazurów, Chrobatów czyli Krakowiaków, Szlązanów, Haliczan, Wołynian, i innych Rusinów. Wszystkie te plemiona zbratały się z sobą, i rade były słuchać tak dobrego, wielkiego króla i kochały go, bo i on ich też bardzo kochał i od Niemców dzielnie bronił. Przed tym królem wszystkie te ludy prócz Polan nie miały żadnych królów, a rządzili się tylko gminami; każda gromada miała swojego sołtysa, którego jak powiedzieliśmy wybierali sobie. Że zaś takich sołtysów było co nie miara, to też kiedy Niemcy napadli, nie prędko się jeden taki znalazł wódz, coby ich do bitwy prowadził. Długo też broili u nas jak u siebie, aż znaleźli się Polscy książęta pochodzący od Piasta kołodzieja, co wojsko z narodu zbierać poczęli. Takim był naprzykład Mieczysław Iszy książe, który do Polski wiarę chrześcijańską wprowadził, i takim był syn jego Bolesław Chrobry, ów król wojak, co tęgo bił Niemców, i pierwszy dopiero utworzył granice Polski a na granicach kazał wbijać żelazne słupy na znak, że dotąd kraj Polski idzie,— a był to kraj ogromny,— a było to już temu więcej niż ośmset kilkadziesiąt lat.

Prócz więc Pomorzan, Mazurów, Krakowiaków, Rusinów, należeli do króla Polskiego i Szlązanie, co ich później nazwano Szlązakami, jak ich do dziś dnia zowiemy. Wielu z was myślało zapewne, że Szlązak a Niemiec to wszystko jedno. Tak nie jest. Szlązak jest zupełnie takim samym Polakiem jak my, gdzie jeszcze mówi po polsku. Będąc pod panowaniem austryackiem i pruskiem i mając między sobą dużo Niemców, wprawdzie popsuli już mowę polską Szlązacy, ale przy pracy i staraniu, mogą ją oczyścić z niemieckich wyrazów i odzwyczaić się od tego zatrącania z niemiecka. Kraj Szląski należał do Polski, a w nim osiedlilo się plemie Polaków od niepamiętnych lat, kraj ten bardzo wiele od wojen ucierpiał z Niemcami, wiele ucierpiał kiedyś od swoich drobnych książąt, co między sobą wojny toczyli, a biedny naród zmęczony wojnami i prześladowaniami, zapominać już zaczął, że on z tej samej kości co my pochodzi, zapominał, bo Niemcy wszystko na swój ład cudzoziemski zapowadzali na Szląsku. Ale teraz i tam już wielu Szlązaków poczuło, że nie są Niemcami, garną się do języka swojego, uczą się go pilnie po szkółkach, boć sumienie się odezwie nareszcie, bo mowa rodzinna swoja, polska to tak jak woda i powietrze, jest rzeczą niezbędną, jest skarbem najdroższym, który gdy się psuje lub zatraca, psuje się życie narodu, psuje się jego serce i sumienie i zaczyna się upadek, który czasami śmiercią całego narodu się kończy. Dla tego to tak kochać mowę swoją ojczystą należy, nią tylko mówić i o jej czystość dbać potrzeba.

Piękny to kraj ten Szląsk! ma on góry, co dają srebro, rudę żelazną, miedź, węgiel kamienny i piękny marmur, ma ziemię bardzo urodzajną, ma lud bardzo pobożny, który razem z innemi do Częstochowy na odpusta chodzi, co wspomina dawnych królów Polskich, i co nic temu nie winien, że ich dawno zagarnęli Niemcy pod swoje panowanie, bo jak słyszeliście, książęta ich najprzód sami się zniemczyli, a później pokłonili się niemieckiemu tronowi. Dzisiaj na Szląsku mówi jeszcze polskim językiem przeszło milion ludzi, reszta albo zniemczyła się, albo też z Niemców i innych ludów składa się.

Najgłówniejsza rzeka w Szląsku jest Odra, która niby siostra naszej Wisły, zdąża do morza Baltyckiego, niegdyś też Polskiem nazywanego, i wpada do niego za miastem Szczecinem, przepłynąwszy 150 mil od swoich źródeł w Morawii. Pod Boguminem (Oderberg) wchodzi w Szląsk pruski i prawie aż do miasta Brzega mieszkają nad nią Polacy, przed Krośnem wchodzi do krainy Broniborskiej czyli Brandeburgii, a za Świeciem (Szwedt) do Pomorza nadoodrzańskiego, który był także niegdyś polskim, a dziś jest niemieckim. Do Odry w Szlązku wpada rzeka Bobra, Niża, i mała rzeczka Slęza (Lohe) o parę mil poniżej Wrocławia z lewego brze-

gu, od której Szląsk swe nazwisko bierze. Wielkie i piękne góry nazywające się Olbrzymie i Sudety, wznoszą się na Szląsku, od południa są Karpaty. Góry szląskie szczególniej od Czech i Saksonii są wysokie i wspaniałe. Fabryk ma Szląsk bardzo dużo, gospodarstwa i drogi dobre, a miasta znaczniejsze w Szlązku są: Wrocław nad Odrą ma 120,000 mieszkańców; Lignica ma 14,000 mieszkańców, Opole nad Odrą; Głogów forteca; Świdnica forteca; Koźle także forteca; Brzeg, Raciborz miasta nad Odrą; Gliwice, Cieszyn, Opawa, Jawor (Janer,) Strzelce, Namysłów, Oleśnica, Trzebnica gdzie leży ciało Ś. Jadwigi; Niża (Nejsse) Kłodsk, (Glac) Byczyna, Kluczborek. Szląsk dzieli się na Górny gdzie najwięcej jest Polaków; na Średni w wschodnich tylko powiatach jeszcze nie zupełnie zniemczony i na Dolny, w którym prócz Niemców mieszka lud Słowiański, pobratymczy, mówiący bardzo podobnym językiem do polskiego, a nazywający się Syrbami, Wendami, przez Niemców Luzatami nazywany.

Dobra i zła żona.

Jeszcze dziś jest rodzina Jakóbczyków we wsi Olszowcu, na tej samej roli, i w tym samym domu mieszkająca, — ale nie tak zamożna jak ich pradziad Maciej.

Maciej Jakóbczyk bogobojnie wychowany przez swoich rodziców, objął po nich gospodarstwo i pięć ulów pszczół. Jeszcze za życia rodziców, pojął za żonę z poczciwego rodu ubogą, ale pracowitą Rózię. Chociaż im Pan Bóg dał pięciorgo dzieci, to Rózia, tak potrafiła się obrządzić w domu, zarządzić gospodarstwem, dojrzeć czeladzi, że Maciej, mając po ojcu i przykład i wrodzone zamiłowanie do pracowitych pszczółek, mógł około nich mieć staranie.

Pszczelnik pięknie ogrodził; i zimą tylko zatrudniał się gospodarstwem, — a jak nastała wiosna, już go pracowita Rózia nie namówiła do zagonu. On mówił do niej: masz ty dobrą głowę a poczciwe serce, dasz ty sobie sama radę; widzę ja, że gospodarstwo dobrze idzie, ja ci nie zaszkodzę swojem. Więc zasiewał Maciej, ale kwiaty i różne krzewy dla pszczółek, bo mówił, że pszczółki nie mają blizko miodu, idą daleko na robotę, a przez to często obłożone miodnem ciężarem giną od słoty, ptaków i innych swoich nieprzyjaciół. I uwijał się około domu, ale tylko koło pszczółek, bo mówił: że choć im się jeść ani pić nie daje, to starunku potrzebują, bo one nie lubią nieporządku, nieczystości, huku, hałasu smrodu i t. p. Poczciwe też pszczółki znały Macieja dobrze, szedł do nich bez żadnej okrywki miód podbierać, pnie obsadzać, a nigdy go żadna nie ukąsiła. On do nich mówił, jakby go rozumiały, — ba, nawet się z niemi bawił. Po brzęku zaraz poznawał co się w ulu dzieje: czy się będzie roić, czy w ulu głód, czy wojna z trutniami, czy matkę utraciły. Trudno było i uwierzyć że Maciej tak pszczoły rozumie, a pszczoły jego, ale tak było, bo się temu przypatrywano nieraz i przekonano. —

Co rok niósł Maciej spory krążek wosku do kościoła i składał go na ofiarę mówiąc: dar to Boży, z bożych kwiateczków, niechaj z tego będzie Bogu chwała; resztę do bractwa sprzedawał. Nikomu nie odmówił miodu dla chorych, to się też do niego z całej parafii na miód schodzili. Miał wprawdzie zrazu Maciej ten zabobon, że chorym miodu nie użyczał, bojąc się niby to, aby pszczoły nie zmarniały jak chory umrze, jak tego przestrzega wielu ciemnych a zabobonnych pszczolarzy. Ale Maciej poradził się proboszcza, i potem nie jednego kapką miodu do zdrowia przywrócił, bo miód z ziół zdrowych przez pszczółki zbierany, goi wewnętrzne rany skutecznie.

Rozmnożył Pan Bóg Maciejowi z 5 do 50 ulów; sporo też dosypywał do miarki dukatów, za coroczny podbiór miodu.

Chociaż liczyli Macieja na tysiące, nie dawali mu jednak miana: skąpego ani nieużytego, bo sobie na to niezasługiwał.

Co rok przynosił dukata do proboszcza w Sławnie, do swojej parafii, na nabożeństwo

żałobne za swoich rodziców, zaraz po wszystkich Świętych, a drugie wyprawiał na uproszenie błogosławieństwa Bożego po Nowym roku. Poczesne sprawiał dla sąsiadów w domu swoim, nie w karczmie.

Sam był trzeźwym, to też u niego nikt się nie spił bezdusznie, a napitku było różnego obficie: miodu, wódki z miodem i zawsze beczka piwa. Przekąska wyśmienita także była, bo pracowita gosposia na każde nabożeństwo podpasła prosiaka. Sąsiadowi nigdy nie odmówił pożyczki na wołu lub krowe, albo na inne poratowanie w gospodarstwie, bez żadnej prowizyi; trzeba było tylko koniecznie na termin naznaczony oddać, inaczej traciło się na zawsze wiarę i dobre słowo. Dla dzieci nie skąpił na naukę, na książki i sam zawsze żałował, że na książce nie umie.

Aż miło było patrzeć, jak poczciwa Rózia z dziećmi swojemi szła w święto do kościoła; łatwo ją było rozróżnić od innych po skromności i czystem ubraniu, bo się broń Boże niczem nie wyróżniała od sąsiadek. Nie wyróżniał się też od innych i Maciej, jeno rozumem i cnotą; dla tego też oboje nie mieli ku sobie od ludzi zazdrosnego oka, ale każdy całą familię szanował i dobrem uczcił słowem.

Liczyli sąsiedzi skrzętnego Macieja na trzy garnce dukatów, bo się tylko w dukatach kochał, a o dukaty to nie tak było trudno jak teraz.

Ale szczęście ziemskie, to nie takie jak niebieskie, co zawsze będzie jednakie i niezmienne. Nigdy się tak ziemskiego szczęścia nie szacuje i nie waży, jak kiedy się ono z nieszczęściem zmierzy.

Może zgrzeszył czem Maciej? Może go Bóg chciał wyprobować? może się za dużo pysznił szczęściem? może się w duchu wynosił nad innych i Bóg go chciał upokorzyć? Nie odgadnione to sądy Boże. Dość, że pracowita Rózia a poczciwa Maciejowa zaniemogła, a po krótkiej chorobie odumarła, opatrzona Sakramentami świętemi.

Maciej zobaczył się jakby na innym świecie, kiedy mu w rękach droga żona skostniała. Wszystkie gospodarskie kłopoty na jego głowę się zlały, a co większa, serce mu się ściskało na widok pięciorga sierotek bez matki.

Najstarsza Marysia, miała dopiero lat 12, dobrze na książce czytała, i takie to było pracowite, poczciwe, potulne, pobożne jak matka; ale nie na jej siły było całe gospodarstwo, niemogła ona drogiej matki zastąpić. Nie mogła się biedna sierotka od płaczu utulić, a oderwać się od matki niedała, jakby przeczuwała ciężkie sieroctwo dla siebie. Za starszą Marysią i młodsze szlochały dzieci, a tak rzewnie przywoływały do życia matkę, że aż się serce krajało każdemu na te smutne organki.

Strapiony Maciej poszedł do swego proboszcza ks. Dulnickiego po pociechę, a był to ksiądz lubiany od parafian; z każdym się nagadał, rad użyczył, pocieszył, to też go kochali parafianie jak ojca.

Zapłakał Maciej przed proboszczem, a łkając mówił przerywanym głosem: „Oj, straciłem żonę, ale co ja straciłem, Bóg tylko wie... Musiałem ja ciężko Bogu zgrzeszyć, kiedy mię tak ciężko ukarał... Ale niech się święci Jego wola święta... Może ja i tem ks. Proboszczu zgrzeszył, zem sobie zawdy myślił: jak dzieciny dorosną, to postaram się aby nie były nieprzymierzając jak niektórzy ludzie co to ni me ni be, mało co od bydlątka mądrzejsze... a mojego Janka, co teraz ma 6ty rok, chciałem wyprowadzić na księdza“?..

—„Mój Macieju, odpowie proboszcz, nieszczęście co na człowieka przychodzi, nie zawsze jest karą za grzechy, jest ono i nawiedzeniem Bożem, bo Pismo Śte mówi: „Kogo Bóg miłuje, karze“. Szukaj pociechy w modlitwie, w pokucie, a Bóg jako cię zasmucił tak i pocieszy; a toć my nie wieczni wszyscy. Gdyby człowiek w tem życiu, na tej ziemi nie doznawał nieszczęścia i smutków, o Królestwo Boże nie dbałby i do nieba nie wzdychał, gdzie prawdziwe jest szczęście. Proś Pana Boga aby ci ten smutek na korzyść duszy twej wypadł, bo są ludzie słabi, co są dobrzy póki im dobrze, a w nieszczęściu upadają, jakby im łaski Bożej brakowało. Więcej Pan Bóg ma niż rozdał“.

Brał Maciej słowa pociechy i rady do serca, a po chwili namysłu powiedział: „Mój dobrodzieju, ja sobie życzę aby moja Rózia miała przyzwoity pogrzeb, bo na to sobie zasłużyła... Oto koszta na pochowek“... i położył na stół jak jeden 20 dukatów i dodał: „Niech dobrodziej sprosi kilku sąsiednich księży, aby się za jej duszę modlili; a po pogrzebie, bar-

dzo uniżenie proszę, aby dobrodzieje nie zgardzili chudobą moją i do mego domu się pofatygowali, ja tam obmyślę przyzwoite przyjęcie".

Proboszcz zatrudnił się wszystkiem co się kościoła tyczyło, zaprosił pięciu sąsiadów; i odbył się pogrzeb bardzo suty a rzewny. Za trumną cała wieś wyległa, a na nabożeństwo, prawie cała parafia się zebrała jako w dzień świąteczny, były też i dwory. Proboszcz miejscowy exortą przy grobie wszystkich rozczulił, i z pełnemi łez oczami odeszli wszyscy z cmentarza, bo Maciejowa z poczciwości i pracy znaną była w okolicy całej.

Duże względy miał wówczas dwór na Macieja, a nawet pewną wdzięczność był mu winien, bo Maciej w potrzebie, zaratował nieraz dwór pożyczką. Państwo Radońscy ówczesni dziedzice, zatrudnili się przyjęciem księży, po nabożeństwie też znaleźli się wszyscy zaproszeni we wsi Olszowcu o pół milki odległej od Sławna, ale nie w domu Macieja, bo chałupa stała jescze otworem, lecz w stodole, która wyłożona białemi prześcieradłami wyglądała jakby wybielona izba. Na klepisku stał duży stół, a na stole nakrycie białe i czyste. Zaraz podano przekąskę, a nie długo smaczny obiad. Do napitku był miodek z jego pszczółek, który w domu zrobił mu braciszek od księży Bernadynów z Wielkowoli, wino i piwo wyborne,— a na wszystko koszt był Macieja, choć widoczna, duże tu było wdawanie się i dworu.

Zaproszeni też zostali i wszyscy z cmentarza do Olszowca, a chociaż nie wszyscy przybyli, to i tak gęsta ręka była. Dla wszystkich zastawione były stoły przez całą wieś na ulicy, ku czemu posłużył pogodny dzień jesienny, i wszyscy obficie uraczeni odeszli i zadowoleni,— biedny tylko Maciej został niepocieszony, osamotniony.

Z ubytkiem dobrej żony, wszystkiego ubywało w domu: dozoru, porządku, opieki nad dziećmi, w gospodarstwie doglądku. Widział i proboszcz jakieś opuszczenia się Macieja, przywołał go do siebie i mówił mu: iż się bez kobiety poczciwej nie obejdzie w domu, którabychoć w części zastąpiła zmarłą Rózię; stręczył mu to tę, to inną, które znał dobrze w parafii z moralności i pracy. Słuchał tego Maciej ze łzami, dziękował za radę, obiecywał usłuchać,— ale stało się inaczej.

Nic nie ma gorszego jak złe kobiety, co się próżniaczką, gorzałką i językiem bawią, na nieszczęście dosyć takich było w Olszowcu i one się uwzięły wziąść Macieja w opiekę. Pod pozorem opieki nad małoletniemi dziećmi, często odwiedzały kumoszki Macieja w domu, nie mogąc się zejść z nim w karczmie. Jaka taka wyciągała z zanadrza flaszkę z gorzałką i częstowała lamentującego Macieja. On brzydził się gorzałką a karczmy nie znał. ale co to kumoszki nie zrobią? Widząc twardego Macieja, wzięły się do widocznej opieki nad dziećmi: ta uczesała, ta pomyła, ta paciorek z dziećmi zmówiła, ta przyniosła coś dla zabawki, i dzieci do siebie przywiązały. I jak to mówi przysłowie: dziecko za rękę, matkę i ojca za serce, złamały tem Macieja, uczęstowały nie raz, i do karczmy wyciągnęły, do gorzałki często miodu dostały, i kiedy raz Maciej podochocony w karczmie tupnął nogą a zaśpiewał dzikiem głosem:

Oj dana dana dana,
Umarła kochana.

A kumoszka kiedy mu odśpiewała podając kieliszek który od niej przyjął:

Oj dana na frasunek,
Gorzałeczka dobry trunek.

Spojrzały po sobie znacząco kumoszki; że Macieja ułowiły, że to będzie krówka dojna a obfita. A jak zaczęły mącić głowę Maciejowi, ta swoję, ta swoję wychwalać, przedstawiać, tak padła do gustu Maciejowi Maryna i zaniósł na zapowiedzie.

Nie zdawało się to zamężcie proboszczowi, ale nie mógł się sprzeciwić temu widząc i dużą z Maciejem świtę i jego humor nie naturalny, powiedział tylko: „gdzie djabeł nie może, tam babę pośle."

Maryna wdowa, bezdzietna, nieodznaczała się pracą, pobożnością, ale wesołem usposobieniem, pochopnością do zabawy i do tańca. Miała lat około 30, nie była szpetną, język jak kołowrotek, całe bogactwo co na niej. Po śmierci swego męża odeszła do familii swojej i była na wyrobku, bo w gospodarstwo męża nic nie wniosła, więc się gospodarstwo do familii męża wróciło.

W 10 niedziel po śmierci pracowitej Ró-

zi odbyło się huczne wesele w Olszowcu, ale nie było to poczęsne i uraczenie podobne do tamtego. Tam wszystko odbywało się z największą przyzwoitością, choć było obficie pić i jeść;— teraz wesele 2 tygodnie się ciągnęło, z różnych stron zjeżdżali się znajomi i krewni, pili, krzyczeli, a pijani po wsi leżeli jak nieboskie stworzenia. I zaledwie się skończyło wesele, i zaledwie szynkarz nadążył wozić baryłki gorzały.

Mówi przysłowie: kto się ożeni, to się odmieni. I nasz Maciej się też odmienił do niepoznania— bo też i w domu do niepoznania inaczej się działo.

Maryna na nowem gospodarstwie, uczuła się całą gospodynią. Mało przesiedziała w domu, a między innemi poznać ją było można, po wielomówności i niezwykłej wesołości, po dużych koralach na szyi, po kraciastej spodnicy i dużej czerwonej chustce na głowie. W kościele teraz częściej bywała, ale tylko się oglądała, czy na nią patrzą; w karczmie wymawiała sąsiadkom że jej zazdroszczą, ale miała i przyjaciółek sporą liczbę i około niej się cisnęli, bo u niej wystawić i dla wszystkich poczęsne niczem nie było, za to się jej wszędzie ustępowano z drogi, a ona się tem pyszniła. Żadne chrzciny, żadne wesele bez niej się nie obeszło; ona się niby wzdragała i wymawiała, ale z chęcią wszędzie poszła.

W domu Maryna także rej wodziła. Dzieci biła i głodziła, czeladź rozpędziła, sama się do roboty nie kwapiła. Widząc Maciej nieład w domu, płacz dzieci i miarkując że wszystko idzie na opak, wtrącił słowo jedno i drugie a ze łzą gorzką nieboszczkę Rózię wspomniał; ale usłyszawszy przekleństwo, złorzeczenie, hałas, odgrażanie, zatulił uszy czapką, wyszedł z izby i nie ostał się aż w karczmie, bo już od czasu swatów oswoił się z karczmą.

W domu i w gospodarstwie coraz szło gorzej i gorzej, choć tego na oko znać nie było, bo Maryna na garnek z dukatami trafiła. Dwoje jednak dzieci umarło na krosty przez niedozór, pszczółki co tak dawniej znały i kochały Macieja, dziś go kąsały i dostąpić nie dały, bo pijaków, próżniaków nie lubią te skrzętne pracownice, a bez opatrunku marniały. I kundel co domu i pszczolnika pilnował i ten się często omylił i zaszczekał na Macieja, bo nie często widywał gospodarza swego. Słowem w trzy lata Maciej zmienił się do niepoznania, a nos brunatny i dzikie spojrzenie świadczyły, że Maciej stał się pijakiem.

Jednego dnia pod wieczór, przybył Maciej zdyszany do proboszcza, a pokłoniwszy się do kolan rzecze:„ prawdę dobrodziej powiedział, że gdzie djabeł nie może tam babę pośle. Ja nie w pokucie, nie w modlitwie szukałem pociechy jak mi dobrodziej radził, i widzi dobrodziej, co się to ze mnie stało. Za poczciwą Rózię, Panie przyjmij ją do chwały swojej, wszystko pójdzie i ja nie zadługo. Teraźniejsza Maryna i cały dom mój i mnie zgubiła. Oto dobra żona i zła żona. Proszę dobrodzieja przyjąć ostatnie moje pięć dukatów z tych com dużo uciułał uczciwie. Niech one będą na mój pogrzeb, bo czuję że nie zadługo zobaczę się z Rózią moją, a może nie byłoby za co mnie pochować“ i łzy padały mu jak grad, a on rzucił się do nóg proboszczowi.

Długo proboszcz strapionego pocieszał, na dobrą naprowadzał drogę, namawiał do porzucenia pijaństwa. Słowa się odbijały od uszów Macieja, już było zapóźno, już rozmowa nie była z tym Maciejem, co to i rozumu i statku miał dużo. Obiecywał, szlochał, płakał, narzekał, przysięgał, widział całe niebezpieczeństwo duszy swojej, ale skutek był niepewny.

Wyszedł od proboszcza Maciej, a idąc około kościoła, może się przetrzeźwił, może sobie wszystkie łaski ztąd uproszone wspomniał, może nieboszczkę w trumnie, dość że go Pan Bóg swą łaską pocieszył i wspomógł. Przed wielkiemi drzwiami upadł krzyżem i długo, długo płakał a wzdychał.

Powstał spokojny, weselszy, całą noc w domu na modlitwie przepędził, nazajutrz przyszedł do spowiedzi i mówił wszystkim, iż tak jest szczęśliwym jak nigdy. Zdawało się, że Maciej tem samym jest Maciejem co dawniej, że i Maryna zmieniła się, bo i ona widząc, że się z garka wypróżniło i że bieda zagląda do chałupy dużo się we złem opatrzyła.

Ale Pan Bóg na to tylko daje czas człowiekowi, aby go używał zbawiennie. Maciej zaniemógł i po dwutygodniowej chorobie umarł. Przez ten czas 2 razy się spowiadał, żałował grzechów swoich i z modlitwą na ustach sko-

nał, już obojętny co się koło niego działo, i mówili ludzie że jego choroba była nieuleczona, bo mu wnętrzności gorzałka spaliła.

Najwięcej żałował Macieja arendasz miejscowy, który szedł za trumną i płakał głośnem narzekaniem,, co ja też bez Macieja pocznę, o mój Maciej mój Maciej!,, i zaraz pacht i arendę w Olszowcu porzucił.

Za przykładem Macieja i Maryna zaczęła poprawę od modlitwy, od spowiedzi, od wyrzeczenia się gorzałki, a choć jej zostało opuszczone gospodarstwo i 10 tylko ulów pszczół, ale choć nie bogate to dostatnie gospodarstwo dochowała i oddała trojgu mało letnim dzieciom Macieja, które pod jej opieką już czulszą dorosły, dostatnio wyposażone zostały.

A ludzie mówili: trzeba było zaraz z Bogiem sobie poczynać, szkoda utraconego czasu i dostatku, i wyrzucali to nie raz Marynie, a ona przyznawała prawdę, ale mówiła że to słyszała na kazaniu: lepsze nawrócenie późne jak żadne, lepiej póżno niż nigdy, i za to dziękowała Bogu.

Piorun i piorunochrony.

Wielkim gościńcem z Warszawy, jechało na wozie dwóch ludzi, z których jeden był fornalem, drugi zaś ekonomem, do domu z targu pragskiego wracających.

Niedaleko od wspomnianego miasta, przy drodze stała uschła topola, którą zeszłego roku piorun od góry do spodu rozdarł, co jéj zniszczenie spowodowało.

Fornal choć już nie raz widział takie drzewo od pioruna uszkodzone, przyglądał się jednak ciekawie topoli, jak zwyczajnie człowiek, który widzi skutek, ale przyczyny wytłómaczyć sobie nie może.

—Powiedzcie mi panie ekonomie, co to jest ten piorun, że z taką siłą wali, a raczej głośniej jak największa armata. Mnie się zdaje, że to musi być coś takiego, co z dopuszczenia boskiego ludziom umyślnie szkodzi.

—Mój kochany, wszystko z dopuszczenia boskiego i z woli bożéj się dzieje, bo Bóg postwarzał rzeczy szkodliwe na świecie, żeby ludzie uczyli się z konieczności bronić się i pracować, a pracą najwięcéj chwali się swojego Stwórcę. Jeżeli jesteś ciekawy dowiedzić się co to jest piorun, to słuchaj uważnie, bo inaczéj na próżno bym ci opowiadał.

Jak przyjedziemy do domu, weż zaraz od żony kawałek bursztynu, który ona ma, bo go zamiast korali nosi na szyi, i potrzyj go o sukmanę, a zobaczysz, że po przybliżeniu do małego kawałeczka papieru, ten papier zostanie przyciągniętym do busztynu, a następnie od niego się odłączy. Przyciąganie papierka tworzy się z przyczyny płynu mieszczącego się w bursztynie, niewidzialnego dla oka, a nazwanego elektrycznością. Elekryczność ta, czyli ów płyn, znajduje się także w chmurach, a tworzy się w dnie skwarne i gorące. Skoro w chmurze płynu tego jest tak wiele że się w niej pomieścić nie może, natychmiast za przybliżeniem jakiego kolwiek przedmiotu, który ma własność przyciągania do siebie elekstyczności, ten płyn z chmury wychodzi, i przechodzi do owego przedmiotu. Przy takiem wyładowaniu płynu elektrycznego z chmury, dąje się postrzegać nagłaświatłość, co nazywają błyskawicą, połączone z hukiem, czyli jak mówimy grzmotami.

Płyn elektryczny, kiedy wychodzi z chmury, skupia się w iskrę wielką, która jeżeli spadnie na ziemię, nazywa się piorunem.

—Więc to piorun to iskra a nie kamień? spytał niedowierzająco fornal. A przecież w tém samém miéjscu, gdzie przed pięciu laty uderzył piorun, kopaliśmy i znaleźliśmy kamień, a syn dziedzica wziął go sobie i powiedział, że to jest piorun?...

Kamieniem nazywają piorun ludzie, którzy nie mają nauki, ale tak nie jest.

—Jakem był w Warszawie, to mi pokazywali na jednym pałacu jakieś żelazne pręty i mówili, że one pioruny przyciągają. Mnie się zdaje, że to nie może być prawda?...

—Owszem, to jest prawda, a te pręty żelazne należą do najpiękniéjszych wynalazków, bo dają ludziom bezpieczeństwo, i chronią ich od tysiąca smutnych wypadków. Te pręty nazywają się konduktorami, czyli piorunochronami, i są przeznaczone na to, by spadający w nie wielkiéj odległości piorun przyciągały i do ziemi po sobie go spuściły. Są one robione z żelaza, zakończonego ostro i powystawiane na wierzchołku budowli, a ostrze ich pociągnięte złotem, albo innym metalem, na-

zywanym platyną, które nie rdzewieją, połączone jest z ziemią, za pomocą przedłużenia, wpuszczonego w ziemię. Przy zakładaniu takiego piorunochrona trzeba uważać, aby był od muru i dachu oddalony przynajmiéj na pół stopy, czyli ćwierć łokcia, i aby koniec jego wpuszczony w ziemię był zakopany głęboko, i dotykał miejsca wodnistego. Po większéj części koniec ten w ziemie wpuszczony robią rozchodzący się na kilka odnóg, bo tak łatwiéj trafić w głębi ziemi na wodę. Pręt łączący piorunochron z ziemią, pociąga się lakierem, żeby nie zardzewiał. Przy dobrze urządzonym piorunochronie, budowla zupełnie jest bezpieczną i dobrze by było, żeby we wszystkich miastach a szczególnie na kościołach takie piorunochrony pozaprowadzano.

—Jak by to było dobrze, żeby ludzie mogli nosić przy sobie takie żelazne pręty; pewnie by w przeszłym miesiącu piorun kobiety na drodze nie zabił, ani też by nie było takich częstych wypadków jak teraz bywa.

—Strzeżonego Pan Bóg strzeże, mój kochany. I ludzie mają sposoby zabezpieczać się od piorunów. Jeżeli ktoś pod czas burzy znajduje się w drodze, nie powinien broń Boże biedz, albo chronić się pod drzewo, gdyż to najczęściej sprowadza uderzenie pioruna. Żelazo w kieszeni, szczególniej rozgrzane, jeszcze niezawodniej ten skutek sprawia. W izbie trzeba się strzedz przeciągu, gasić ogień w kominie, trzymać się zdaleka od ścian i chronić się rozgrzania oraz potu, bo to wszystko sprowadza piorun. Pierze broni od takowego smutnego wypadku, ale jest powodem rozgrzania, którego, jakem już powiedział, wystrzegać się należy. Powiadają, że ognia piorunem wzbudzonego ugasić nie można, ale to zapewne dla tego, że taki ogień z ogromną szybkością się roznieca.

—Jak tylko przyjedziemy do domu, natychmiast to opowiem swojéj żonie i swoim sąsiadom, a tak może nie prędko zdarzy się w naszej wsi smutny wypadek z pioruna...

—Dobrze zrobisz mój kochany. Należy korzystać z doświadczenia i nauki drugich a nawet pytać się mądrzejszych od siebie o wszystko, czegokolwiek sami nie pojmujemy, bo takim sposobem wiele rzeczy nauczyć się można.

Różności.

Szkółki żeńskie niedzielne.— w Ochronie IX pod nazwą księdza Boduena przy ulicy Brzozowéj, od kilku miesięcy staraniem gorliwego jéj opiekuna Jana Gotiego zaprowadzoną została szkółka niedzielna dla kobiet. Kazdej Niedzieli lub święta od godziny 3éj do 6téj popołudniu uczą w niéj czytać, pisać i rachować. I któż to uczy? oto oprócz samego opiekuna, niestrudzona w pracy dozorczyni tej ochrony, pani Józefa Swięcka, która, jak w saméj ochronie, tak w téj szkółce żeńskiej jest duszą całej nauki, uczą tam także dwie dobre pomocnice, oraz łaskawe panie i panny, dobrowolnie poświęcające czas, zwykle w dni takie a często i w powszednie, na czcze i niezawsze pochwalne rozrywki przez innych marnowany. Uczą, poświęcają się, aby tylko szerzyć światło pośród téj ludności, która nauki tak koniecznie potrzebuje, i sama tak dla własnego szczęścia, jak i dla dobra kraju gorąco jéj pragnie. Któż zaś się uczy? przeszło sześćdziesiąt (60) kobiet na wiadomość o szkółce, zbiegło się z różnych stron miasta, i pilnie się uczą. Uczą się tam młode panienki, dorosłe, starsze, a nawet już niemłode panny, mężatki i wdowy; uczą się kobiety nietyko różnego wieku, ale różnego także powołania ubogie i zamożniejsze; nietylko wyrobnice, kucharki, panny, służące, sklepowe, szwaczki i praczki, ale także żony stróżów, czeladników, subjektów i same panie majstrowe. I to o czém nieraz pisano, że po wsiach obok dzieci i rodzice chętnie przysłuchują się nauce, tak i w szkółce téj można widzieć matkę uczącą się czytać w Niedzielę lub święto, obok swego dziecka, które w dni powszednie na naukę do ochrony uczęszcza. Wielką prawdziwie obywatelską jest zasługą gorliwego opiekuna, którego prace mają już powszechne uznanie, jest ta szkółka, kwitnie ona dzięki przewodniczącéj dozorczyni która siły swe i zdrowie po całych dniach poświęcając w ochronie, i w dni nawet niedzielne spoczynku sobie odmawia, dzięki zacnym i dobro ogółu pojmującym nauczycielkom, i chętnym a pilnym uczennicom. Daj Boże, podobnych przykładów jak najwięcéj w Warszawie i w kraju całym!— W samej Warszawie są jeszcze dwie inne żeńskie szkółki niedzielne, lecz o takowych nie mamy teraz bliższych szczegółowych wiadomości.

Przedpłata wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12.— półrocznie złp. 6.— ćwierćrocznie złp. 3.—miesięcznie złp. 1
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bezkopert złp. 13 gr. 10.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem przedpłata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 13 gr. 10 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp. 6 gr. 20 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 15 Lutego 1863 r.